



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## TERESA JADWIGA PAPI.



Przez lat dwadzieścia pięć, lat najpiękniejszy ch życia w których ludzie myślą zażyczać o sobie, o swem szczęściu, powodzeniu, spokoju, dobrobycie i sławie, myśleć właśnie o tem wszystkim nie dla siebie lecz dla drugich; stanawszy na progu młodości, oddać ją w służbę bliźnich; wiek dojrz-

ły przepracować dla innych, i cel swój widzieć w poświęceniu się tak dla bliskich pokrewieństwem krwi, jak i dla bliskich pokrewieństwem współczucia, a talent swój ofiarować maluczkim, i w tem wszystkim wytrwać ćwierć wieku, nie starając się o rozgłos, hołdy i korzyści, — to istotnie nie pospolita zasługa, wielki tryumf dobrej woli, znamię silnego ducha, a nadewszystko duże bogactwo serca, ten najistotniejszy motor wszelkiego dobra na ziemi. Ten motor żywotny kierował właśnie działalnością szanownej jubilatki pani Teresy Jadwigi Papi, której obecnie społeczeństwo nasze składa gorące dowody tego, że choć zasługi bywają ciche i nie pragną same rozgłosu, lecz ukryć się tak znów nie mogą, aby wdzięczność nie miała ich odszukać i uznać jak należy. Nie jest to jednak tylko jubileusz literackiej pracy autorki na polu pedagogiki i piśmiennictwa dla młodzieży,

lecz istotna dwudziestopięcioletnia rocznica działalności jej serca, które umiłowałszy wiedzę, prawdę i dobro, wybrało sobie najpodatniejszą glebę do złotego ich zasiewu, to jest duszę dziecka, i okolo tej duszy pracuje od lat dziesiątek, to wychowując gromadkę siostrzeńców, to kierując zakładem naukowym dla pańien, to pisząc te ładne książeczki których jest ze trzydzieści, lub artykuły, powieści, powiastki których się trudno doliczyć, a rozsiane zostały, na kartach „Wieczorów rodzinnych“ „Przyjaciela dzieci“, „Świata“ (Red. Wiślickiego) i „Małego świątka“ (Lwów).

W całym tym plonie wieje duch dobry, zachęta do cnoty i pracy, pobudka do obowiązku, przestroga przed pokusą, uwielbienie dla ofiary, miłosierdzia, waleczności, i tego wszystkiego co podnosi i uszlachetnia. Bez przesady umie autorka ten świat swój malować, językiem dobrym, nieraz obrazowym, który w niektórych utworach jak: „Dziedzice Otoka“ błyska niepospolitym powabem. Do wybitniejszych dzieł p. Papi należą: „Złe i dobre duchy“, „Z dziejów obcych“, „Ciche niewiasty“, „akter“, „Z różnych sfer“, „Marzenia“, „Talizman Janka“, „Kopeiuszek“, „Walka“, „Z lat minionych“, „Różne ścieżki“, „Szlachetne serca (wydanie jubileuszowe 1897. Nakładem M. A. Wizbeka. Warszawa, z portretem autorki)“ i wiele innych a każda z tych książek posiada swą ideę zdrową i piękną którą autorka pragnęłaby zaszczerpić w duszy swych młodziutkich czytelników. Wielec zalecający przymiot mają dzieła Teresy - Jadwigi — oprócz tej dobrej idei przewodniej, jest w nich — rzeczywistość ludzkiego życia, odsłaniająca trudy, znoje, walki, cierpienia i ułomności człowieka, a zatem stawia dziecko i młodzież na gruncie nie urojonym, wymarzonem, bajecznym, gdzie wszystko jest dobrze i szczęśliwe, lecz daje obraz takiego życia z jakim się spotykamy dzisiaj i na jakie dziecko patrzy własnymi oczyma i odczuwa własnymi skłonnościami. Dla tego też Teresa Jadwiga zyskała sobie, że się tak

wyrażę, stronictwo dzieci, nie łatwe do zdobycia, bo obdarzone ogromną, prawidłową intuicyą która przeczuwa co jest naturalne i możliwe, a co przesadne i naciągnięte. Młodzież lubi książeczki p. Papi, nie nudzi się przy nich, przyjmuje gorzką nieraz prawdę bo wie że to tak akurat być musiało i z zadowoleniem znajduje w nich — siebie.

Cóż więc dziwnego, że uczennice i czytelniczki oraz poważny zastęp dojrzałych ludzi tak gorąco dziękował autorce za jej dotychczasową pracę, tak usilnie prosił o dalszą działalność i zamierza uczcić jej jubileusz osobnem dzieł jej wydaniem. — Droga po której autorka kroczyła, nie była wcale łatwą; z rodu w połowie obcego, ojciec był Włochem, matka Polką, wychowanie przeważnie otrzymała francuskie, długie lata pozostając pod wpływem obcego języka, dopiero jako panna dorosła ją się uczyć po polsku i owoc trudów złożyła w pierwszym swym utworze „Gustaw Waza“ który jej zjednał przychylną ocenę. Ma wrodzoną swojską nutę, dźwięczną w pomysłach i celach, obrazach przyrody i ludzi, w kreśleniu przymiotów i wad społecznych objawiających się już w dzieciach i młodzieży. Z obcych wzorów dobiera takie, na których prostować się mogą krzywizny nasze lub wzorować i doskonalić swojskie skłonności. I nasuwa mi się tutaj druga zaleta prac Teresy Jadwigi — jednolitość pedagogicznego talentu i umiarkowanie z jakim duszę dzieciinną obrabia. Nie spotyka się tu niespodzianek, wysoków, odbiegania od raz powziętych zasad moralnych, tak że można dać od razu dziecku książkę w rękę noszące imię Teresy Jadwigi i mieć o nie święty spokój. Nawet temat bardzo nęcący pióro do jaskrawego wybuchu, nawet idee palące się w duszy autorki nie uniosą tej jej spokojnej jednolitości będącej dużym przymiotem, a nawet obowiązkiem sumienia pisarza pedagoga.

Zalety te wszystkie jako też i strony słabsze talentu wykazałyby można na przykładach, porządkując przytem rozwój jego postępowy w krótkim

jednak dzisiejszym rysie działalności Teresy Jadwigi uogólnić tylko nam przychodzi cechy istotnych jej zasług i usiłowań, które mają zupełne prawo powiedzieć społeczeństwu: „paściec dziełeczki do mnie!” Młode pokolenie doczeka się niewątpliwie jednej jeszcze pracy szanownej jubilatki która do dziś, jeśli pióro na chwilę odłoży, to na to, aby dopełnić troskliwej opieki nad powierzoną sobie liczną gromadką dziewczątek, a gdy wieczór nastanie i spokój z nim i cisza, powraca dosnuwać rozpoczęte myśli i natchnienia.

Słyszałam raz małego biednego chłopczyka mówiącego z zapałem:

- Ach! gdyby słońce miało rękę!
- No, to cóż by było?
- O, tobym słońce w rękę pocałował!
- Dlaczego?
- Bo ja bardzo kocham słońce!
- A za co kochasz?
- Bo tak świeci! tak grzeje! takie dobre!

P. Teresa-Jadwiga ma tę właśnie w swych książkach dla młodzieży prostotę serca, za którą się kocha, bo świeci, grzeje, takie dobre!

Szczesna.

## W kwestyi równouprawnienia kobiet

wobec nauki, pracy i dostojności ludzkiej.

(List otwarty do kobiet niemieckich).

### ELIZY ORZESZKOWEJ.

WYJAŚNIENIE.

Powieści moje zaczęły być tłumaczonymi na język niemiecki w r. 1884. Pierwsza ich tłumaczka, pani Laura Brix, mieszkająca w Wiedniu, po przetłumaczeniu *Meira Ezofowicza*, przedstawiła publiczności niemieckiej *Martę*, której dała niemiecki tytuł: *Ein Frauenschicksal*, potem nastąpiły liczne przekłady inne.

Z recenzji umieszczonych w dziennikach niemieckich, które doszły rąk moich, oraz z listów prywatnych, wiem, że *Marta* została przyjęta przez publiczność kobiecą w Niemczech bardzo przychylnie. Jednym z objawów tej przychylności było to, że stowarzyszenia kobiece, liczne w Niemczech, szerzyły znajomość tej książki pośród kobiet, za pomocą publicznego odczytywania całości lub niektórych ustępów w rozmaitych miastach.

Temu to zapewne przypisać wypada, że w r. 1891, to jest w 25-letnią rocznicę mojej pracy pisarskiej, otrzymałam odezwy zbiorowe, w bardzo gorących i pochlebnych słowach zawarte, licznymi podpisami zaopatrzone, od stowarzyszeń następujących:

- 1) Allgemeine Deutsche Frauen-Verein.
- 2) Deutscher Frauen Verein-Reform.
- 3) Vorstand des allgemeinen Deutschen Frauen-Verein.
- 4) Frauenwohl Verein.

Oprócz tego, przesłano mi z Niemiec trzy odezwy z podpisami kobiet, nie należących do żadnego ze stowarzyszeń i listy od trzech autorek niemieckich, pań: Liny Morgenstern, Maryi Albrecht i Józefiny Friderici.

Niepodobna mi było tych objawów sympatyj pozostawić bez odpowiedzi i podziękowania. Z innej strony, chciałam skorzystać ze sposobności podzielenia się z cudzoziemkami pewnym poglądem na kwestyę kobiecą, powstałym w myśli polskiej. Napisałam więc kilkanaście stronic, na których umieściłam podziękowanie i pogląd, a które przetłumaczyła z rękopismu, w sposób niepospolicie wierny i wyborny druga tłumaczka niemiecka powieści moich, pani Malwina Blumberg. To tłumaczenie posłałam pani Linie Morgenstern, z którą przez czas jakiś prowadziłam korespondencyę ożywioną i która po wydrukowaniu mojej odezwy w dzienni-

ku swoim, wychodzącym w Berlinie, wydała ją w formie broszury.

Taką jest geneza tego faktu, że pisałam nie dla swoich, lecz dla obcych. Tej samej natury fakt zdarzył mi się przed kilkunastu laty, gdy byłam wezwana przez p. Stantona, amerykańnika, do pisania o kobietach polskich w wydawanym po angielsku dziele zbiorowym i—zdarza mi się obecnie, gdy piszę również małe studjum „O polce,” dla p. Jana Finot, paryskiego wydawcy *Revue des Revues*.

Artykuł napisany na wezwanie p. Stantona został powtórzonym po polsku, w książce mojej p. t. „O kobiecie.” Dwa ostatnie oddają również sądowi i polecam uwadze moich rodaczek, dla których pożytku wszechstronnego pragnę poświęcać każdą godzinę życia, każdy błysk myśli i każde uderzenie serca, proszę, niech przebaczoną mi będzie okazywana tu i ówdzie surowość zdania i wymagań.

\* \* \*

Szanowne panie!

Objawami sympatyj, któremi obdarzyć mnie raczyliście dumna i ucieślona, daremnie szukam słów, któremi mogłabym wyrazić swoją uciechę i wdzięczność; w podziękowaniu choćby najwymowniejsem zmieścić się one nie mogą. Może więc najlepiej okaże, jak wysoce jest mi cennym stosunek, który najłaskawiej pomiędzy mną i sobą związać chciałycie, jeżeli obszernie podzielię się z Wami parą myśli i marzeń, mających związek z przedmiotem was i mnie gorąco obchodzącym, z kwestyą równouprawnienia kobiety wobec nauki, pracy i dostojności ludzkiej.

Wątpię abym myliła się mniemając, że kwestya ta jest w gruncie rzeczy kwestyą zdrowego rozsądku i sprawiedliwości, więc na pozór, łatwą do rozwiązania być powinna. Ale jest to stałem, chociaż zadziwiającym zjawiskiem, że najtrudniejszymi dla ludzkości do rozwiązania są właśnie zagadnienia najprostsze i że ludzkość łatwiej i częściej zdobywa się na bohaterstwo, niż na sprawiedliwość. Więcej w dziejach swych posiada ona takich, którzy wzbijali się ku najwyższemu szczytom abstrakcyi i filozofii, aniżeli takich, którzy na dnie spraw społecznych dostrzegać umieli proste: dwa razy dwa, cztery; więcej takich, którzy na rozmaitych stosach ofiarnych zgorzeli, aniżeli takich, którzy w przekonaniach i czynach stwierdzili, że ludzie wszyscy bez względu na różnorodność trafów urodzenia, wobec praw do światła umysłowego, pracy i szczęścia są sobie równi. Tej tylko właściwości natury ludzkiej, która zdobywa prawdy najdalej, a pomija najbliższe, jedną ręką sięga po gwiazdy, a drugą, kość z gardła bliźniego wydziera, przypisać należy to także, że kwestya równouprawnienia kobiet nie została jeszcze całkowicie rozwiązana, że nawet wogóle, kwestya ta istnieje.

Istniała ona od zarania dziejów, od Hagary samotnej, w udęczeniach ciała i ducha na pustyni błędzkiej wówczas, gdy współnik jej błędu bezpiecznie królowała w swym namiocie; od indyanki, która według prawa Manu, miała być „cieniem swego męża, śmiejącym się, gdy on się śmieje, płaczącym, gdy on płacze.” Istniała kwestya ta przez cały ciąg dziejów ludzkich i przebywała stadya różne, którym czasy nasze, nadały pośpiech taki, że te stadyum, które przebywa obecnie, nie jest już tem; na którym znajdowała się przed 20-stu laty, to jest wtedy, gdy pisałam książkę (*Ein Frauenschicksal*, *Martę*) która zdobyła mi względy wasze, szanowne panie. Przez czas ten wiele dojrzałych, lub dojrzewających kiosów przybyło niwie naszej, wiele chwastów z niej zniknęło, uszłyśmy do celu swego spory kawał drogi i otrzymane zdobycze dają słuszną prawo kończącym bój szermierkom do pewnej uciechy, a poczynającym do pewnej nadziei.

Ale tylko do nadziei, bo tryumf zupełny jest jeszcze dalekim, a obecne stadyum rozwoju kwestyi kobiecej, jakkolwiek wobec poprzedzającego przedstawia niezaprzeczenie krok naprzód zrobiony, posiada przecież skrzywienia, które wyprostować i obowiązkami, które spełnić powinniśmy, jeżeli chcemy, aby przyszłość ujrzała w nas czujne strażniczki lamp nam powierzonych i dobre pracownice w winnicy ideału.

Pozwólcie, Szanowne panie, aby kobieta obca wam krwią, lecz szczycąca się względami waszemi i żyjąca wspólnie z wami w świetle prawd wszechludzkich, zajęła wam chwilę czasu uwagami, nad jednym z tych skrzywień i jednym z tych obowiązków.

I.

Z pomiędzy trzech najwyższych ideałów ludzkości, któremi są: prawda, dobro i piękno, dwa ostatnie tylko poczytywanymi były za dziedziny odpowiedzialne dla natury i zadań kobiety, aby zaś z dziedziny pierwszego mogła ona czerpać jakiegokolwiek korzyści lub dokonywać w niej z pożytkiem jakiegokolwiek czynności,—nie wierono. Kobieta, przedstawiać miała w ludzkości żywoły dobroci i piękności,—rozum, z poznawania prawdy powstający, poczytywanym był względnie do niej za przymiot, nie tylko niepotrzebny, ale nawet grozący nadwężeniem jedynych dla niej właściwych i koniecznych przymiotów: dobroci i piękności. O ile mężczyzna miał prawo nie być ani dobrym, ani pięknym byleby był rozumnym, o tyle w kobiecie, ograniczoność umysłowa nie przedstawiała przywary czy niedostatku, owszem przedstawiać mogła jeden urok więcej, byleby tylko z dobrocią i pięknocią połączoną była. Jakiej głębokości i rozległości dosięgała ta obowiązująca kobietę dobroć i piękność? Można powiedzieć, że miara jej była bardzo ciasną i płytką; bo, o ile dobroć czynna i rozumna jest w skarbnicy ludzkości perłą niezaprzeczenie najwspanialszą i najrzadszą, o tyle bierna i instyktowna, posiada lichą wartość metalu nieobrobionego i kruchego; o ile piękność we wspaniałych objawach natury i sztuki uszlachetnia i uszczęśliwia, o tyle taka, która tylko na kształtach ciała lub na kunszcie stroju polega, przynosi światu pierwiastek zepsucia i cierpienia raczej, niż udoskonalenia i szczęścia. Kobiety zaś przez prawa i obyczaje od prawdy oddalone, przedstawiały w ludzkości dobro i piękno za pomocą dobroci tylko instyktowej i piękności tylko materialnej. Pierwszą warunkował w nich i stopniował temperament wrodzony, mniej lub więcej skłonny do poddawania się panującym przepisom i opiniom; druga zależała od powabów ciała, biegłości w kunszcie stroju i, co może być najgorszym,—od układania powabów ciała i wymysłów stroju, w jedną wielką sztukę—zalotności. Usilnie przez długie wieki prowadzone pod światło dwu ideałów, z wyłączeniem trzeciego, kobiety przedstawiały w świecie te ideały, przez to, co zawiera w sobie najmniej pierwiastku idealnego: przez instykt i ciało. Oddalone od prawdy, nosiły one w sobie nauki dobra jak szybki mechanicznie w ich dusze wprawione, które też rozbijały lada powiew kaprysu lub namiętności, a piękno podawały światu w napoju niezmiernie ponętnym, lecz z powodu jednostronności swej niebezpiecznym i często trującym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## LUBRANCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dokończenie).

Vis-à-vis siedziała jakaś biedna kobiecina i trzymała na kolanach małe dziecko, które krzyczało w sposób przeraźliwy. Bujała je na wszystkie strony pobudzając je tylko tym sposobem do coraz większego krzyku.

— Cicho, ty utrapieńcze! Synu szatański! A dokąd to panusia jedzie? — spytała Jadwinę, gdy dziecko odpoczywało przez chwilę, by później krzyczeć tem głośniejsz.

— Do Warszawy, — odrzekła niechętnie.  
— A to i ja do Warszawy. Kosztowna podróż. Wzięli za bilet osm rubli z kopiejkami.  
Jadwinia przypomniała sobie, że biletu nie ma. Pospiesznie wysiadła, żeby się weń zaopatrzyć.  
Znalazłszy się na peronie z westchnieniem ulgi zaczerpnęła świeżego powietrza, jednak pomimo wszystko szła po bilet, śpieszyła się, gdyż już było po drugim dzwonku.

— Jak się masz, Jadwiniu! — ozwał się za nią jakiś głos znajomy.  
Obejrzała się — księżna X. wyciągnęła ku niej rękę.

— Księżna tutaj? — rzekła z pomięszaniem.  
— A tak. Spóźniłam się wczoraj na pociąg i musiałam do dzisiejszego dnia mój przyjazd odłożyć. A ty dokąd jedziesz?  
— Ja... ja... — tylko parę stacyi... nie... do Warszawy...

Księżna spostrzegła, że się knuje coś niedobrego i powiedziała sobie zaraz, że Jadwinia w podobnym rozdrażnieniu jakie malowało się na jej twarzy, nie można samej jednej w podróż puszczać.

— Odłóż na jutro ten twój wyjazd, a teraz jedź ze mną, mam ci wiele do powiedzenia. Odwiozę cię sama na ranny pociąg.

— Nie, nie mogę, puść mnie! Muszę zaraz jechać. Ostatnie już chwile a biletu jeszcze nie mam — i niecierpliwie szarpnęła rękę, którą księżna silnie trzymała.

— Tędy się idzie do kasy, — rzekła księżna i wprowadziła ją do kobiecego gabinetu, który był zupełnie pusty. Drzwi zamknęła a klamkę sobą zastąpiła.

— Przecież tu biletów nikt nie sprzedaje, — rzekła Jadwinia gniewnie.

— Moja droga Jadwiniu, — zaczęła księżna łagodnie i serdecznie, — jeżeli masz choć trochę dla mnie przyjaźni to cdlóż na jutro ten twój wyjazd, albo powiedz mi otwarcie, dokąd i po co jedziesz.

— Tam gdzie mi się podoba. — Próbowwała dostać się do klamki i drzwi otworzyć. — Jakim prawem zagradzasz mi drogę?

— Takim, że jestem ci życzliwa i nie chcę twojej zguby.

Księżna zdawała już sobie sprawę z zamiarów Jadwini.

— Puść mnie! Czy słyszysz, że już trzeci dzwonek? Pociąg zaraz odejdzie!

— Już jechać nie możesz. Biletu nie dostaniesz, bo kasa zamknięta. Pociąg rusza.

I rzeczywiście usłyszano ostatni sygnał i wagony zwolna ruszać zaczęły. Jadwinia z zamysleniem przypatrywała się przez okno ich ruchowi.

Wstrząsały ją sprzeczne wrażenia. Serce jej się żalem ścisnęło a równocześnie doznawała jakby ulgi, jakby po jakimś śnie przykrym i męczącym. Patrzyła wciąż z zamysleniem a łzy ciekły po jej twarzy. Zdawało jej się, że się rozwiało jakieś marzenie cudne i świetlane, i że równocześnie oddaliła się jakaś rzeczywistość trywialna i odpychająca, której pierwsze kontury zaznaczyły jej się tam, wśród zepsutego powietrza trzeciej klasy.

Pociąg poszedł w świat i zginął w oddali...  
Z oczów Jadwini ciągle łzy płynęły, zbliżyła się do księżnej i za szyję ją objęła.

— Nie gniewaj się na mnie, ale ja jestem taka nieszczęśliwa!

Odpowiedzią księżnej był uścisk serdeczny i łzy współczucia.

— Pojedziesz ze mną, — rzekła.  
Konie Jadwini czekały z drugiej strony dworca. Siadła do powozu księżnej i razem pojechały.

Księżna z początku nie mówiła, chciała, żeby Jadwinia uspokoiła wzburzone nerwy.

Gdy się rozmowa nawiązała, nie naruszano drażliwego przedmiotu, jej wyjazdu; księżna opowiadała potrosze wydarzenia i wiadomości zebrane podczas podróży.

Mówiła zajmująco i swobodnie, powoli myśli Jadwini zaczynały się rozjaśniać, w łagodnym dźwięku głosu księżnej, czuła życzliwość i dobre serce, doznawała przyjemnej ulgi i rozrównienia.

Gdy powóz zatrzymał się przed pałacem, na spotkanie księżnej wybiegł jej mąż i dzieci, nastąpiła powódź całusów, wykrzykników, zapytań i odpowiedzi.

Było już dosyć późno, niedługo do stołu podano. Wszyscy byli rozradowani i weseli, opowiadano drobne wydarzenia, zaszły podczas nieobecności księżnej, dzieci mówiły jedno przez drugie, każde chciało powiedzieć matce jaknajwięcej, starsza dziewczynka ubolewała, że mało kwiatów było w ogrodzie i nie mogła dość pięknego bukietu postawić mamie na biurku, młodsza przygotowała niespodziankę, nauczyła się ślicznych wierszy i zaraz je po obiedzie zadeklamuje.

Księżna była rozpromieniona. Na wszystkich twarzach znać było zadowolenie i spokój, widoczne było, że wszyscy się tu kochają i są sobie oddani, że nikt poza te bliskie kółko rodzinne nie wybiega myślą dalej w świat.

Jadwinia patrzyła na ten obrazek rodzinny, i serce jej się smutkiem ścisnęło. Przyszły jej na myśl Lubrańce, z którymi ją nie wiązało, i mąż i dzieci przybrane zupełnie jej obojętne.

O dziewiętej dzieci dobranoć powiedziały i poszły do siebie.

— Dzieci zawsze ze mną pacierz mówią, może obydwie razem tam pójdziemy, — rzekła księżna. Nie chciała żeby Jadwinia pozostała sama ze swymi myślami, jej męża nie było w salonie przed chwilą go ktoś wywołał.

Przyszli wszyscy razem do sypialnego pokoju. Dzieci ukłękły wokoło klęcznika i zaczęły powtarzać za matką słowa modlitwy. Jadwinia także ukłękła, trochę na uboczu i głowę wsparła na rękach.

Ogarnęła ją smutna zaduma. Patrzyła na tę szczęśliwą gromadkę, ufała w Boskie miłosierdzie i modląc się z wiarą o Jego zmiłowanie i opiekę. Szczęśliwi.

Łzy z oczów jej płynęły, a modlitwa przyciszonym powtarzaniem głosem jakoś się nieznacznie do serec jej wsuwała i poruszała w niem struny nigdy nie dotykane a uspięne... Uzuła jakieś słodkie rozrównienie, jakąś nieokreśloną chęć modlitwy i zaufania w kimś wszechmocnym i miłosiernym... kto jest, widzi i słyszy biedy i zwątpienia ludzkich serec i umysłów, jest litościwy i potężny, bo po walkach niepewności i zniechęcenia, mówią, że przemawia do duszy głosem pociechy, spokoju i ukojenia, jest naszym początkiem i końcem, bo dusza ma Jego poczucie, bo ręce nieraz mimowoli składają się błagalnie, a usta szepeją słowa modlitwy, kiedy się kończy moc ludzka. Ale jak do Niego przemawiać, i gdzie szukać Jego istoty?

— Boże! zmiłuj się nademną! — wyszeptwała Jadwinia i ręce silnie ścisnąjąc wysunęła przed siebie, jakby szukała jakiegoś oparcia i steru na dalszy ciąg życia.

— Boże! Zmiłuj się nademną! — powtarzała szczerze i ze łzami. — Boże! Gdy się odwrócisz ode mnie, dokądże pójdę?

Uzuła chęć modlitwy, nadziei w tej ucieczce ostatniej modlitwy, nie wywołanej grą nerwów i wyobraźni rozbudzonej efektem muzyki i śpiewu i podniosłością nastroju świątyni, ale z potrzeby duszy, która pragnie kochać i wierzyć w lepsze światy, w Istotę dobrą i piękną, miłosierną i potężną, bo się już zmęczyła błądzeniem po manowcach.

Stała się jej w myśli cała przeszłość, zabiegi o bliźni światowy i wywyższenie, tyle różnorodności komedij, udawania sprzecznych uczuć, miłości, gdy była obojętną, obojętne gdy kochała. A cel? garsć złota i pustka życia. Kto się zminie z prawdą i celem niepotrzebny jest na świecie, unieszczęśliwia tylko siebie i drugich.

\* \* \*

Na drugi dzień rano księżna X. odwiozła ją do Lubrańców i pozostała tam przez kilka godzin.

Gdy po tygodniowej przerwie znów do Lubrańców zawitała, zastała Jadwinie bardzo zmienioną, przygnębiającą i apatyczną.

— Czyś ty nie chora, moja droga Jadwiniu? — spytała.

— Niestety, nie, — odrzekła Jadwinia, wzruszając niedbale ramiona. — A żałuję tego mocno. Miałabym przynajmniej jakiś cel i zajęcie, gdybym musiała myśleć o sobie i swoim zdrowiu. Literalnie nie wiem co mam robić z moją osobą. Strawią mnie na śmierć tutejsze nudy.

Ten stan apatyczny mocno księżną niepokoił, coraz częściej zaglądała do Lubrańców. Po krótkiej obserwacji zauważyła z łatwością, że tylko odbieranie listów i wszelkich ze świata wiadomości interesowało ją i ożywiało. Można już było łatwo skombinować, że w tych wszystkich listach szukała wzmianki o dalszych Henryka planach, niespokojna czy ułoży się jego małżeństwo z Marylką, czy też pozostanie wiernym jej wspomnieniu.

Myśl i uczucie dla Henryka, zamiast w oddaleniu mgłą się powlekać i zacierać, wracały coraz głębiej do jej umysłu, władały nim bezwzględnie, i doprowadzały nerwy do ostatnich krańców wrażliwości.

Henryk i Henryk! I nic poza nim! tymczasem rzeczywistość wszystko dawała, z wyjątkiem Henryka.

— Poświęciłabym pół życia, żeby już wiedzieć ostatecznie, czy Henryk ożeni się z Marylką! — dnia jednego rzekła żywo, przerywając nagle rozmowę z księżną X. o zupełnie innym przedmiocie.

Ale jej ukochany bardzo szczupłe i rzadkie dawał o sobie wiadomości, zaledwie w parutygodniowych odstępach zawiadamiał krótko i węzłowato, a w Warszawie ciągle przebywał.

Zima się skończyła niezwykle prędko, śniegi już znikły w połowie Marca; ale wczesne przebudzenie się natury i wiosenny blask słońca, nie robił wrażenia na Jadwini. Była coraz bledsza i więcej zdeenerwowana, tylko jak przynoszono pocztę z Warszawy, ogień jakiś gorączkowy żarzył się w oczach i liściach, ale gdy nie było listu od Henryka, gasł w jednej chwili, czy też zrzęcznie się ukrywał pod powłoką sztucznego spokoju.

Jednego dnia księżna X. korzystając z pogody i ciepła przyjechała lekkim koczykiem i nie rozbiegając się weszła do pokoju Jadwini, chciała ją bowiem zabrać na dalszy spacer. Zaledwie jednak w drzwiach się ukazała, Jadwinia podbiegła ku niej z niezwykłą żywością:

— Zaręczeni!!! — wykrzyknęła zapominając o przywitaniu.

Księżna nie odpowiedziała, usiadła na stojącym opodal krześle, czekała, aż Jadwinia wypowie wszystkie swoje beładne myśli.

— Ha! ha! ha! Akurat rok temu, mówił mi, że życie by za mnie oddał! Ciekawa rzecz, komu i co, na przyszły rok mówić będzie! Albo mnie okłamywał, albo Marylce teraz nieprawdą oczy zamydla.

— Choćby cię był nawet okłamywał, to nie masz prawa powstawać przeciw niemu. I w twojem postępowaniu względem niego nie było szczerości.

Prawda, tak węzłowato wypowiedziana, była jakby szklanką wody, która ochłodziła zapal Jadwini i zwróciła rozmowę na inny trochę kierunek.

— Ale, nie powiedziałam ci jeszcze najważniejszego szczegółu. Ani się domyślasz — ciotka Hornowicz z Marylką i Henrykiem przyjeżdżają tutaj na święta Wiekanoce. Ha! Czy nie ironia? Ale ja sama poddałam tą myśl memu mężowi, i zmusiłam prawie, że ich zaprosił. Wmówiłam w niego iż to jest konieczne dla pokazania światu, że wszelkie nieporozumienia, których ja byłam powodem, ustały już zupełnie i że w rodzinie Lubrańcekich zanawadza ewangeliczna zgoda i harmonia.

Ostatnie słowa wymówiła ironicznie, była podniecona, żywo chodziła po pokoju, oczy jej się iskrzyły a na policzki biły rumieńce.

— Muszę, koniecznie muszę widzieć Henryka w roli narzeczonego Marylki. Muszę mu zajrzeć w oczy i zobaczyć, choćby na dnie duszy, które z nas kłamało. Gdybym mogła, dziśbym do Warszawy pojechała, by mój na niego spojrzeć i wyczytać jego myśli. Ja jedna znam go dobrze; ta gaska Marylka nigdy nie potrafi, tak jak ja, odgadnąć wszystkiego co mu tylko przez głowę przejdzie. Nie, to niepodobienstwo! Przecież on mnie tak kochał!

A do myśli przyszło jej porównanie, że on ją tak samo kochał jak ona go teraz kocha, a przecież ona tej miłości ani rozumem ani żadną inną mocą wyrwać sobie z serca nie może.

Nastąpiła teraz zmiana w jej usposobieniu. Była znów rozgorączkowana i niespokojna, wyczekiwała przyjazdu Henryka i Marylki, z jakąś gorką ciekawością i zawiścią.

Wreszcie pani Hornowicz w liście do „ukochanego szwagra“, którego „serdecznym i usilnym zaproszeniem zadość postanowiła uczynić i Święta Wiel-

kanocne w Lubrańcach przepędzić“ naznaczyła dzień przyjazdu.

Jadwinia krzątała się po domu z wielką gorliwością, dając ostatnie rozkazy dotyczące się pomieszczenia i wygod mających przybyć gości, a kiedy narazie powóz się zatrzymał przed pałacem, młoda hrabina Lubrańcka, z niezem niezamąconym uprzejmym uśmiechem witała przybyłych w swoim domu i z roli gospodyni wywiązała się z wdziękiem i swobodą.

— Na górze są cioci pokoje, — rzekła do pani Hornowicz, — pewno panie będą chciały trochę się przebrać i wypocząć — i prowadziła je do tych pokoi, które w roku zeszłym z panią Zenejdą zajmowała.

Było w tem trochę złośliwości pod adresem Henryka. I znów taksamo jak wtedy pani Zeneida, teraz naprzód szła pani Hornowicz, tylko, że jej w zastępstwie Lubrańckiego Jadwinia towarzyszyła, a za nią dopiero zdążali szczęśliwi narzeczeni.

Zywo jej w pamięci naraz ta chwila stanęła, kiedy pierwszego dnia po jej przyjeździe do Lubrańców Henryk jej rękę uściśnił w półcieniu klatki schodowej. Teraz szedł z Marylką i rozmawiał. Szarpnęło ją coś w piersiach i głos zdławiło w gardle, wyteżała całą moc panowania nad sobą, ażeby się nie rozplakać.

Ponieważ w południe przyjechano, zgromadzono się niedługo na śniadanie. Lubrańcki był rozpromieniony, jak tylko umiał okazywał zadowolenie ze swojej przyszłej synowej, która z ogromną cyfrą posagu miała wygląd płochliwej istotki, bardzo skromnej i nie żądającej nic dla siebie. Rozczulał się coraz bardziej, a przy deserze deklamował prawie ze łzami:

— Pan Bóg nieskończenie dobry i miłosierny, pozwolił mi doczekać tej chwili, kiedy mogę patrzeć na szczęście mego syna. Wola Boża zawsze się we wszystkim objawia. Jeżeli Bóg pozwolił miłości wzrosnąć w sercach waszych, widoczne jest Jego zrządzenie, abyście byli na zawsze złączeni. Tak, moje dzieci, trzeba iść zawsze za głosem przeznaczenia.

Jadwinia wrzała. Przypomniała sobie jak rok temu „wola Boska“ pomimo „miłości w sercu Henryka wzrastającej“ była przeciwną jego małżeństwu. Obrzydliwy, przewrotny starzec! Byłaby mu z przyjemnością co złego zrobiła, nienawidziła go coraz więcej!

Henryk i Marylka mało z sobą rozmawiali, krępowała ich trochę obecność Jadwini. Przy obiedzie dopiero oswoiwszy się z nią trochę, byli swobodni, weseli i sobą zajęci. Jadwinia była blada, usta miała zaciśnięte. „Po co ja ich tu sprowadziłam?“ powtarzała sobie w myśli.

Ciekawą była widzieć Henryka narzeczonym Marylki, i cóż jej przyszło z tej ciekawości? Upokorzenie, spotkawszy wzrok jego zimny i zupełnie obojętny, w którym znać było, że dawne wspomnienia uleciały bezpowrotnie z serca i myśli. A ta jego obojętność drażniła ją i pobudzała nerwy, jego zaś wywyższała i dodawała uroku.

Ona nie umiała, tak jak on, panować nad swojemi uczuciami, ona wrzała w swoim wnętrzu!

Obiad był wesoły, można było sądzić na pozór, że wszyscy zapomnieli o przeszłości. Lubrańcki puszczał się na dowcipy dosyć płaskie kosztem Marylki i Henryka. Atmosfera uczucia, którą zakochani zdawali się być owiani, udzielała się całemu otoczeniu, panowało jakieś ciepło serdeczne, które w umysłach radość krzeszało, a na twarzach siało rumieńce i uśmiechy. Lubrańcki bliski był rozrzewnienia, pani Hornowicz przypominała sobie rozmaite szczegóły z czasów swego narzeczeństwa.

Jedna Jadwinia mało się mieszała do rozmowy. Czuli się jakby odosobnioną i skrzywdzoną wśród tego ogólnego tonu swobodnego i wesołego. Przyszedł jej na myśl ten obiad pamiętny, podczas którego Henryk przedstawił ją jako swoją narzeczoną. Przypomniała sobie wszystkie upokorzenia, opór rodziny, egoistyczną miłość Lubrańckiego i swoje własne zaślepienie i tę nieszczęsną żądę bogactwa, nie tylko bogactwa i bogactwa! Porównywała swoją rolę i Marylki i uciuwała się coraz więcej nieszczęśliwą. Marylka była szczęśliwa, chwalona, pożądana w rodzinie i przyjmowana z sercem otwartym — ją, upokarzano bezwzględnie, pożądaną tylko egoistycznie, nie brano nigdy w rachubę jej miłości

własnej ani poczuć delikatnych, dlatego tylko, że jej nie bronił wielki posąg ani rodzina bliska a wpływała.

Ileż goryczy i zawiści!

A jednak było serce, które ją kochało, chciało dla niej cierpieć i żyć dla niej... a ona zdeptała te klejnoty, żal przyszedł po niewczasie.

Ży ścisła ją za gardło, musiała użyć całej silnej woli, ażeby im nie dać ujścia.

Chwała Bogu. Od obiadu wreszcie wstano, przechodząc do salonu, mogła Jadwinia ukradkiem obejrzeć jedną łzę niedyskretną, która jej się gwałtownie przecisnęła przez powieki.

W salonie narzeczeni usiedli na uboczu a Jadwinia zostawiwszy Lubrańckiego bawiącego panią Hornowicz, wyszła na werendę, która do salonu przytykała.

Wieczór był widny ale chłodny, jak zwykle o wczesnej wiosnie, drzewa pączkami okryte dawały dopiero zapowiedź cienia, zapachu i kwiecia. Równe trawniki odkrywały przestrzeń daleką, po której wił się kanał wodny, zygzakiem jasnym i srebrnym, odbijając w sobie strop niebieski.

Cicho było i spokojnie, a myśli Jadwini wirowały wciąż bezładnie i gorączkowo.

„Po co ja ich tu sprowadziłam?“

Tylko na rozgoryczenie, rozpacz, żal za przeszłością i wyrzut sumienia! Wspomnień cały ocean napływał jej do myśli, a zaprawiały się goryczą przez porównanie z losem Marylki!

Spokój natury i mrok wieczorny ukołysał umysł do marzenia. Czemużby nie mogła pójść do Henryka, myślała sobie, czemużby mu ręk na szyję nie zarzuciła i nie wyszeptwała:

— Kocham cię nad wszystko! Opuszczę dla ciebie świat i dostatki, złamię zobowiązania, dobre moje imię na pastwę ludziom rzucę... wszystko dla ciebie... a później tobie i mnie niech będzie koniec.

Ale nagle dreszcz ją wstrząsnął! Gdybyż to był kto inny! Ależ to jest syn jej męża!

Zaczęła spacerować po werendzie aby się otrząsnąć z myśli zaprawnych trucizną. Dwa okna salonu wychodziły także na tę werendę, Jadwinia zajrzała przez jedno z nich. Henryk coś mówił nachylony ku Marylce, twarze mieli rozpromienione i szczęśliwe.

„Radzi, że ich moja osoba nie krępuje“ — pomyślała sobie, i ścisnęła ją złe uczucie.

Ha, trudno. Nie dla niej już szczęście. Nie umiała w porę uchwycić jego złotej niteczki, a kiedy mu ujść pozwoliła, kiedy życie snuć dla niej zaczęło bezbarwną tylko szarą przędzę ona ku tamtej minionej nadaremnie wyciąga ramiona — już za późno!

Przykrył jej był widok tych szczęśliwych, zeszła z werendy i skierowała się ku trawnikom.

Po miękkim gruncie stąpała bez szmeru i powoli; wstęga wody na kanale przyswiecała jej bladym połyskiem.

Miała wrażenie, że idąc tak w tę przestrzeń mroczną odsuwa się, nie tylko od Henryka i jego narzeczonej, nie tylko od widoku człowieka, który z każdą sekundą był dla niej coraz wstrętniejszym, a z którym była związana na dolę i niedolę życia, ale jakby równocześnie oddalała się od całej swojej przeszłości, od wszystkich wspomnień zaprawnych chorobliwą ambycją i wyrachowaniem, żalem i zawiścią, od straconego szczęścia, od wszystkiego, co ma styczność z ludźmi i światem.

Oglądając się czasem szła wciąż przed siebie, doznawała wewnętrznej ulgi widząc, jak okna od salonu, przez które widzieć było można Marylkę i Henryka, malały stopniowo i kontury swe zacieierały w cieniu wieczornym.

Zatrzymała się wreszcie nad brzegiem kanału.

Powierzchnia wody była spokojna, wietrzyk jej żaden nie falował, ani nie macił trawy nadbrzeżnej. Jadwinia stała zamyślona, patrząc machinalnie na połyski wody. Odosobniała się myślą od otoczenia i głowa się pochyliła jakby w trosce i przygnębieniu.

Poczuła naraz ciepło na swej twarzy, do wody spadło łez kilka. Spadły nieznacznie, bez szmeru, maleńkie obręcze po wodzie się od nich rozeszły, zaledwie dostrzegalne na gładkiej toni.

Jadwinia patrzyła ciągle w to miejsce gdzie jej łzy ginęły, i nie przerywała swej zadumy.

Czy myślała o tych łzach, których coraz więcej gubiło się w tej wodzie światłem posrebrzonej? Czy o swoim życiu bezcelowem i chybionem? Czy o tem, że ona wśród ludzi jest taką samą jak ta łąka, która istnieje chwilę za ledwie, a później ginie nie zo stawiwszy ani żalu ani wspomnienia...

\*

\*

\*

Minęło lato i jesień... opadły niejedne kwiaty, dojrzały niejedne owoce, i śnieg pierwszy, lekki, puszysty zasuwając począł, okolicę, ogród i — cmentarz Lubrańcki... W parku, białym szronem zakrył ślad stóp Jadwini, na cmentarzu brylantowemi migał iskrami na jej pięknym marmurowym pomniku. Zawiodły ją marne bogi fortuny i blasku światowego, imię i pieniądz, i tytuł, nie zaspokoili oślepionego próżnością serca, które do rzeczywistych ideałów zbudziło się — zapóźno... Gorący, nieumiarkowany temperament, żądza używania, rozbijała na fałszywej steżce wychowania, doprowadziły do niezdrowego fermentu uczuć trujących spokój, zdrowie, młodość, życie, a na wypielegnowanie nowych celów w puszczonych samopas duszy było także — zapóźno... W galerii lubrańckiej przybył w szeregu jeden portret pięknej kobiety, przybranej w klejnoty rodowe, a malarz, może przypadkiem, a może i z myślą ukrytą, włożył w ręce ten najkosztowniejszy w skarbcu sznur pereł, który się jej w życiu na strumień spóźnionych łez zamienił...

KONIEC.

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Niedawno w szrankach powieściopisarskich ukazał się Wł. St. Reymont, a już pierwszą większych rozmiarów powieścią p. t. *Komediantka*, o której w tej chwili mamy mówić, zwrócił na siebie oczy ogółu i wyrobił sobie rozgłos szerszy. Istotnie p. Reymont posiada wybitne zdolności powieściopisarskie, które z czasem świetnie się mogą rozwinąć. W *Komediantce*, uwydatnił on już niemały zasób zmysłu spostrzegawczego, a obok tego i dar uplastycznienia postaci, co bądźco bądź jest jednym z najważniejszych warunków twórczości powieściopisarskiej, i dowiódł, że umie rozporządzać temi wszystkimi środkami, które wogóle służą dla beletrystów. *Komediantka* — to powieść, bardzo dobrze malująca w barwach ciemnych, posępnych, ale, niestety, zupełnie prawdziwych życie trupy prowincjonalnej. Występuje tu przed oczyma czytelnika cała galeria charakterów o rozkiełzanych namiętnościach, ludzi o umyśle wrażliwym, mniej lub bardziej poziomym, a żyjących z dnia na dzień życiem gorączkowem, rozstrzelonem i wypełniających je grą w teatrzyku, intrygą za kulisami, lub nawpół pijacką rozmową w knajpie. Są to indywidualia, które były, jak mówi sam autor, „krawcami, szwaczami, tapicerami, kelnerkami, szwaczkami, żonami, które uciekły od mężów i którym coś, jakiś fatalizm kazał udawać komedye. Były to mózgi ciasne, indywidualności średnie, serca małe, tłum czarny; ale w tym tłumie, zbieranym ze wszystkich grzęd życia, było tyle miłości i zapału do sztuki i teatru, tak ukochali oni tę chimere, że rzucali warsztaty, sklepy, względny dobrobyt, mężów i dzieci, dobre imię, świat, w którym wzrosli i, nie dbając o nic, szli za tryumfalnym rydwanem Melpomeny... Były to może dusze złe, przewrotne, brutalne, takie, które na targowisku świata witano śmiechem lekceważenia i niemal pogardą, ale pomimo to dusze te były większe choćby dlatego, że nie pechał ich do teatru ordynarny instynkt żeru, że walczyli o jakąś ideę, której nawet ich mózgi nie umiały sobie jasno uświadomić. Były to dusze lepsze, bo szły za głosem przyrody i cierpiały.“ Tak, niewątpliwie w głębi piersi tych ludzi istnieje jakaś zaciejsza iskra, ale tak przetrząśnięta popiołami życia codziennego,

że tylko wytrawniejsze oko badacza dusz ludzkich potrafi ją dostrzedz. Ogólne zaś wrażenie, jakie czyni na czytelnika cały ten tłum aktorów i aktorek, jest bardzo ujemne. Wyjątek tu stanowi jeno główna bohaterka Janka Orłowska, dziewczyna młoda, nie zepsuta, która pod wpływem zamiłowania do sztuki opuszcza dom ojca, dziwaka, i wstępuje do teatru, pełna najświetniejszych nadziei i wiary w zasność tych wszystkich, co się właśnie tej sztuce poświęcili. Atoli szybko doznaje strasznego rozczarowania, zetknięwszy się ze swymi kolegami i koleżankami i ujrawszy zblizka ów stek brudów, o którym dotychczas nie miała najmniejszego wyobrażenia. Mimo to wszakże miłość do sztuki pozostała w niej niewzruszoną, dzięki czemu dziełczyzna, oswoiwszy się z nową, a wstrętną z początku dla siebie atmosferą i godząc się z okolicznościami, wśród których żyć jej wypadło, pozostaje na raz obranej drodze, występując w przeznaczonych sobie tymczasem roli chórzystki. Opowiadanie kończy się katastrofą: Janka pod wpływem wielkiej nędzy materialnej i zawiedzionej miłości ku jednemu z aktorów odbiera sobie życie. Taką jest główna osnowa utworu, z którą wiąże się wiele epizodów, mających na celu wszechstronne odmalowanie życia teatru prowincjonalnego, co właśnie było zadaniem autora, który się z niego wywiązał dobrze, wykazując doskonałą znajomość tego świata aktorów i aktorek, skreślonych prawdziwie, bez żadnej przesady w kierunku dodatnim lub ujemnym. Atoli pomimo to wszystko nie podobna zamknąć oczu na wadliwość stylu i usterki językowe w książce, świadczące o małej znajomości autora nie tylko natury języka, ale nawet zwykłych form gramatycznych. Tak np. wyraz „głęb” w znaczeniu głębina uważa autor za rodzaj męzki (str. 163), zamiast przypadku drugiego używa czwartego („nie przeprosił ją,” str. 135, „nie zjadły ją,” str. 203) i t. d.

Klemens Junosza, jeden z najpopularniejszych pisarzy naszych, kreślących tak doskonale typy szlachty uboższej lub żydów, puścił świeżo w świat nową powiastkę p. t. *Na bruku*, w której opowiada walkę o chleb powszedni zubożalego dzierżawcy, przybyłego do Warszawy z resztką grosza i opłatanego siecią przez nierzemnika, wyszukującego opłakaną sytuację biednej rodziny. Atoli opowiadanie kończy się pomyślnie, czyniąc całkowicie zadość etycznym wymaganiom, i czytelnik zwyczajny zostaje zupełnie zadowolonym, gdy nakoniec bohater powiastki po długiej walce dostaje korzystną posadę, a córka jego, której groziło poważne niebezpieczeństwo ze strony łotra Hermana, wychodzi za mąż za młodego urzędnika, który w samą porę otrzymuje awans. Powiastka ta tak pod względem tematu, jak i wykonania artystycznego może być śmiało zaliczoną do ostatnich prac tego autora, bowiem nie zawiera w sobie ani oryginalniejszych myśli, ani też z większą plastyką wykonanych szczegółów opowiadania lub rysunku występujących postaci. Jedynym w całym utworze ustępem o wybitniejszych barwach naturalnych jest na samym początku książki dość plastyczny opis Pocijowa gdzie mieszczą się obok siebie najrozlicniejsze sprząty domowe, skupowane i sprzedawane przez żydków. Z osób, wchodzących do powiastki, wyraziściej i żywiej naszkicowany jest przebiegły Herman i krewki, acz poczciwy bardzo węglarz, reszta zaś występuje wogóle w dość bladym oświetleniu bez wypukłych rysów.

J. Nitowski.

## NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

### 1) Wyjazd z Kadyksu.

Było to dnia 31 marca 1891 roku, o godzinie 6 po południu, w Kadyksie, na ulicy, biegnącej dokoła portu, nad samem morzem, koło przystani, w której stało kilkanaście łodzi przewoźniczych. Przyszedłem w towarzystwie sługi hotelowego,

który za mną przyniósł moją walizkę, a w tej chwili targował się z przewoźnikami. Ja stałem obok, czekając z zimną krwią, na czym się skończy ta licytacja, na której spodziewałem się wyjść o tyle dobrze, o ile byłem jedynym pasażerem, pragnącym dostać się do okrętu. Tymczasem przewoźników, z których każdy chciał mi zabrać do swojej łodzi, było z dziesięciu. Była to licytacja *in minus*: zaczęła się od 20 *pesetas* (t. j. franków), ale nie upłynęła minuta, a już się znalazł taki, co się podejmował przewieźć mnie za 10 franków. Skończyło się na tem, że wsiadłem do jego łodzi, a po chwili odbiliśmy od brzegu.

Byłem sam jeden, to też, kiedym spojrzął na mego przewoźnika i jego pomocnika, wyglądających jak zbroje, doznałem takiego wrażenia, mającego wszelkie pozory przecucia, jakby mi groziło jakieś niebezpieczeństwo, i zacząłem żałować, że rewolwer mój, zamiast się w tej chwili znajdować w kieszeni od palta, znajdował się w walizce. Ha! trudno! Już się stało! Co ma być, będzie! Tak pomyślawszy sobie, zacząłem rozmawiać z przewoźnikami, pytając ich — łamaną hiszpańszczyzną — czy jestem pierwszy, którego dziś wiozą do okrętu, czy już byli tacy, których zawieźli? Odpowiedzieli mi, że przed godziną pojechało całe towarzystwo Anglików. Z kolei zapytałem, jak daleko stoi okręt (którego jeszcze nie dostrzegałem, ponieważ jeszcześmy nie wypłynęli z portu), na co usłyszałem odpowiedź, że będzie ze dwa kilometry. Potem nastąpiło milczenie i zauważyłem, że rozmowa nie szła jakoś, że moi przewoźnicy, wiosłując, nie starali się mnie bawić rozmową, a co najgorsza, to, że wciąż robili mi wrażenie, jakby knuli jakieś zamysły, jakby zamierzali wyzyskać tę sytuację, której nie ja, ale oni byli panami. Za chwilę mieliśmy wypłynąć z portu, za chwilę mieliśmy się znaleźć na morzu, niewidziani z brzegu, a przewaga fizyczna i liczebna, która zawsze w takich razach rozstrzyga, była po ich stronie: ja byłem sam jeden, bezbronny, ich było dwóch, a obaj wyglądali na bardzo silnych i każdy z nich dałby mi rady, jak nie, choćby mnie chciał zabić i wrzucić do morza, zabrawszy wszystko, co wiozłem z sobą. Ostatecznie mogliby mnie zgładzić ze świata, a nikt by się o tem nie dowiedział. Bo kto ich mógł skontrolować, czy mnie dowieźli do okrętu, czy nie? Widziano wprawdzie, że wyjechali z pasażerem, z chwilą jednak, gdyśmy wypłynęli z portu, byłem na łasce i nieładzie mych przewoźników, którzy mogliby doskonale powrócić do portu, utopiwszy swego pasażera, i powiedzieć, że go wysadzili przy okręcie, który odpłynął właśnie. Nikt by nie sprawdzał, czy tak uczynili, jak opowiadali, bo co może kogo obchodzić młody cudzoziemiec, który w Kadyksie czekał na okręt! Tymczasem przewoźnicy mogli rozumować w ten sposób: ten młody cudzoziemiec nie może jechać bez pieniędzy, a ubrany jest tak, jakby tych pieniędzy mógł mieć dużo. Jakiś paniczek może? Nie wolny od podobnych myśli, śledziłem ruchy i spojrzenia mych przewoźników, którzy wiosłowali milcząc, i tak upłynęliśmy kilkaset sążni, prując ciemno-zieloną toń wody w porcie, spokojnej i gładkiej, jak powierzchnia jeziora.

Nareszcie wypłynęliśmy z portu. W tejże chwili zapomniałem o moich przewoźnikach, o ich spojrzeniach z podejścia, albowiem ujrzałem widok, jakikomu równego nie widziałem dotąd. Był zachód słońca. Wszystko zdawało się płonąć, wszystko zdawało się roztopiać w jakimś złotym pyle, który przesycił całe powietrze. Cała połowa nieba, na którym nie było ani jednego obłoku, była różowo-złota, a olbrzymia kula słoneczna, jeszcze nie dotykająca krawędzi morskiego widnokręgu, płonęła niby jakaś fantastyczna tarcza miedziana, purpurą zabarwiona po brzegach. Na fioletowym morzu, leżał ognisty gościeńiec, migający nakształt złotej łuski, a tym gościeńcem coraz szerszym i świetlistszym w miarę jak się zbliżał do horyzontu, płynęła moja łódź. Na prawo było widać wielki okręt trzymasztowy o dwóch złotych kominach, który stał na kotwicy. Była to jedyna ciemna plama w tej stronie, gdzie wszystko było szafirem, fioletem, purpurą i złotem, a gdzie samo niebo wyglądało jak turkus, nasiąkły kolorem bladej róży. Nawet białe mewy, których mnóstwo fruwało w po-

wietrze, wydawały się różowe. Cóż dopiero Kadyks! Nie zapomnę tego widoku! Całe miasto było jak rubinowe, a jego białe domy o płaskich dachach, które mu w zupełności nadają pozór i charakter afrykańskiego wschodniego miasta, przesłonięte mgłą czerwono-złotą, jakby gazą, robiły wrażenie jakiejś zaczerwowanej wyspy, dziwnie eterycznej, która, oblana wodami ciemnego szafiru, z temi słońcami w oknach domów, nad którymi tu i owdzie widać korony palm, prędzej wygląda na jakąś uroczą wizję, wibrującą nad roztoczą morską, aniżeli na rzeczywiste miasto, z którego się wypłynęło przed kwadransem.

Stojąc w łodzi, rozglądałem się na wszystkie strony, kiedy nagle doznałem wrażenia, że nie posuwamy się naprzód, że nie płyniemy z poprzednią szybkością, że łódź straciwszy pierwotny rozpęd, zatrzyma się za chwilę. Spojrzałem na swych przewoźników, a ci ku memu niesłychanemu zdumieniu powciągnawszy wiosła, siedzieli z założonymi rękoma. *Que es eso?* zapytałem. „Co to jest? Odpowiedz zaś, jaką otrzymałem na to zapytanie, zaniepokoiła mnie, przyznaje. „Proszę pana, odrzekł starszy przewodnik, my nie pojedziemy za 10 franków“. „Jako? A nasza umowa?“ „Co umowa! powiedzieliśmy, że pana przewieziemy za 10 franków, aby pan wsiadł do naszej łodzi, ale nam się należy 20 franków...“ Widziałem, że mię mają w rękę, więc oponowałem niezbyt silnie; swoją drogą nieomieszkalem im wymówić tej nieuczciwości, której — rzekłem — nie spodziewałem się po Hiszpanach, słynących ze swego honoru. „Niech *signor* da zaraz te 20 franków, bo inaczej nie pojedziemy.“ Co było robić? Widząc, że niema rady, wyjąłem złotą dwudziestofrankówkę, która po chwili znalazła się w woreczku mego przewoźnika, a odrazu rozwiązała mu usta. O ile przez pierwszą połowę drogi był mileczący, o tyle teraz rozgadał się, co mu nie przeszkadzało wiosłować z takim ferworem, że aż woda warczała pod łodzią.

Tak dojechaliśmy do okrętu, z którego zaraz spuszczone schodki, a który, obserwowany z morza, z dołu przedstawiał się imponująco, dając wszelką rękojmię, iż na takim okręcie można się nie obawiać burzy. Był to dla mnie widok nowy zupełnie, bo nigdy w ten sposób nie podjeżdżałem do tak wielkiego okrętu, na którym ludzie stojący na pokładzie, robili wrażenie mrówek, co obsiadły grzbiet jakiegoś olbrzymiego żółwia. Z obu kominów dymiło się, jak z kraterów wulkanu. Maszty, reje, pozwijane żagle, sznurówce drabinki, liny odcinały się od nieba, jak siatka. Z pokładu zwieszały się na zewnątrz okrętu białe szalupy ratunkowe, wiszące na białych obłokach. Z za burtu, z pod dachu górnego pokładu, obramowanego białą balustradą żelazną, wyglądał szereg podłużnych okien, któremi widocznie światło wpadało do górnych salonów; dolnych kajut pozwalał się domyślać długi szereg okrągłych okienek, których przerywany różaniec ciągnął się poniżej burtu, przez cały czarny bok okrętu. Pod temi okienkami, na przodzie, wśród złotych ornamentacji brzkowych widniała nazwa okrętu, której złote litery układały się w trzy wyrazy: *Ville de Brest*. Tak się nazywał okręt.

Kiedym się znalazł na pokładzie, pożegnany przez swych przewoźników, z których jeden wniósł za mną walizkę, dowiedziałem się przedewszystkiem, że właśnie dzwoniło na obiad, przy którym już mam zarezerwowane miejsce. Znaczyło to, ażebym nie czekając, zszedł do kajuty, do sali jadalnej, gdzie już zasiadano do *table d'hôte*.

Nie było mi to bardzo na rękę, gdyż wolałbym był jeszcze czas jakiś zostać na pokładzie, rozejrzeć się po okręcie a przedewszystkiem napawać się nieporównanym widokiem, jaki się ztąd w tej chwili rozciągał na Kadyks, na zachodnią część morza. Słońce, które teraz było koloru szkarłatu, już do połowy zanurzyło się w morzu, a morze było purpurowe w środku, fioletowe po bokach, a ciemno-granatowe na krańcach; Kadyks, złoty do niedawna spąsowiał, nabrał jakiegoś kardynalskiego koloru. Zachwycony tym wenecko-fantastycznym kolorytem tego egzotycznego pejzażu, doczekałem chwili w której słońce zapadło w morze, w której odrazu pogasły wszystkie blaski, morze pociemniało, a Kadyks przyobłękł się matowym fioletem. Dopiero kiedy cały krajobraz poszarzał, kiedy zachód po-

czął tracić swój oślepiający blask, a morze posiniało, nad Kadyksem zaś, jak brylant, zamigotała pierwsza gwiazda, przypomniałem sobie, że jest pora obiadowa, że już przed pięciu minutami *maitre d'hotel* prosił mnie, ażebym poszedł zająć swoje miejsce przy stole.

W przepysznej sali jadalnej, oświetlonej elektrycznością, połyskującej brązowym machoniem, złotymi bronzami, ponsowemi aksamitami, etc. przy wygodnym nakrytym stole siedziało około trzydziestu osób obojej płci, przeważnie Anglików. Na naczelnem miejscu poznałem kapitana okrętu, o którym wiedziałem już, że się nazywa Marinelli, a przekonałem się teraz, że był to przystojny mężczyzna, blondyn, o sympatycznym wyrazie twarzy, o cerze ogorzałej, ciemniejszej, niż jasna broda, którą sobie gładził ciagle. Przy nim siedziało dwóch oficerów okrętowych, których poznałem po czarnych mundurach ze złotymi guzikami. Dalej siedzieli pasażerowie, pomiędzy którymi, kiedym usiadł na swoim miejscu, dostrzegłem dwie śliczne Angielki, szatynkę i blondynkę, obie po jakie 17 lat. Blondynka, siedząca naprzeciwko mnie, była poprostu rozmarzającą. Tymczasem dwóch wyfraczonych lokai obnosiło półmiski, wszystko zaś, co podawano, było wyborne. Zapominało się, że się jest na okręcie. Miało się złudzenie, że się wieczerza w jakimś gabinecie której z pierwszorzędných restauracji paryskich. Był to pierwszy obiad, jaki jadłem na morzu, na okręcie. Byłem zachwycony, żałowałem tylko, że nie miałem z kim rozmawiać, że obaj sąsiedzi moi, jacyś niemłodzi Anglicy, „milkniem żwawo jedli“, jak goście Sędziego z *Pana Tadeusza*, wcale się na mnie nie oglądając. Prawie wszyscy, o ile rozmawiali, mówili po angielsku. Wyjątek stanowiło 4-ch młodych Francuzów, którzy odrazu pozwalali się domyślać, że są z południowej Francyi, gdyż mówili dużo, głośno, to zaś, co mówili, raz po raz wywoływało wybuchy śmiechu. Byli w doskonałych humorach, a robili bardzo sympatyczne wrażenie. Postanowiłem zbliżyć się do nich, bo musiałem myśleć o jakimś towarzystwie, zważywszy, że moja podróż morska miała trwać tydzień przeszło. Tymczasem nie mogłem oczu oderwać od mego uroczego *vis-à-vis*, którego ogromne szafirowe oczy co chwila nakrywały się swemi przepysznyemi rzęsami. Powtarzało się to zawsze, ile razy spotkały się z moim spojrzeniem. Tak zeszedł cały obiad, trwający prawie godzinę.

Po obiedzie poszedłem zobaczyć kajutę, którą mi przeznaczono, a w której już znalazłem moją walizkę. Kabina była niewielka, ale odrazu zrobiła bardzo przyjemne wrażenie. Miałem z niej korzystać sam, choć była z dwoma łózkami, z lustrem naprzeciw drzwi, z elektryczną lampą w suficie, z jednym okrągłym okienkiem po prawej stronie. To ostatnie, kiedym wszedł, było otwarte do środka, tak, iż spojrzawszy w nie, ujrzałem okrągły skrawek nieba i dwie gwiazdy. Niebo było koloru ciemnej śnieżki.

Przyjrzałem mu się dokładnie, kiedym wyszedł na pokład, żeby użyć przechadzki po okręcie, żeby odetchnąć orzeźwiającym chłodem wieczoru, aby popatrzeć na morze i na Kadyks. Okazało się, że było na co patrzeć. Na zachodzie świeciła zorza, podobna do olbrzymiej łuny, a trochę na lewo czerwieniła się Kadyks, nabijany światłami okien i latarni na bulwarach, a szczególnie piękny od strony portu, gdzie błyszczało mnóstwo światła różnokolorowych, czerwonych, jak rubiny, zielonych, jak szmaragdy, i żółtych, jak topazy. Morze było spokojne, pomarszczone w drobną falę, a gubiące się w ciemnościach gwiazdzistej nocy; nie widziałem, gdzie się kończyło morze, a zaczynało niebo. Wieczór był ciepły, spokojny, i tylko lekkie orzeźwiający wiatr zachodni chłodził policzki.

Całe towarzystwo, które widziałem przy stole, teraz znajdowało się na pokładzie. Mężczyźni, z cygarami w ustach, świecącymi w ciemności, jak iskry, przechadzali się po pokładzie, podobni do cieniów elizejskich, kiedym się im przypatrywał z przeciwnego końca okrętu; damy siedziały na wygodnych ławkach o pochyłych oparciach, tak iż się na nich leży prawie, nie siedzi; Francuzi, oparci o burt, poglądali na Kadyks; a to samo czyniła moja cudowna Angielka, stojąca obok swej sio-

stry—szatynki. Matka siedziała za nimi w rozłożystym fotelu na biegunach.

Na pokładzie panowała względna cisza, którą jedynie zakłócał niegłośny gwar rozmowy, przeważnie prowadzonej półgłosem. Morze, oplukujące boki okrętu, klekotało prawie niedosłyszalnie. Na masztach, wśród sieci lin i drabinek, paliło się kilka lampek różnokolorowych, a z kominów raz poraz wylatywało po kilka iskier. W budce kapitana, którego było widać przez otwarte okno, pochylonego nad stołem, paliła się lampa. Świeciło się także w budce sternika.

Kto nie spędził takiego wieczoru na pokładzie okrętu w podobny cichy wieczór, kto, wsparty o burt, nie widział gwiazd odbijających się w ruchliwej powierzchni morza, kto nie oddychał temi powiewami tego wiatru, który robi wrażenie miarowego oddechu morza, ten nie wie, jaki błogi spokój wtedy napływa do duszy, jak ta dusza odpoczywa w taki cichy wieczór marcowy, jak kojaco wpływa taka przechadzka po pokładzie! Jeszcze okręt stał na kotwicy, a już miałem przedsmak tej przyjemności, jaką jest podróż morska, oczywiście jeżeli morze jest tak spokojne, jak było tego wieczora.

O godz. 10-tej usłyszeliśmy sygnał do odjazdu. Rozległ się świst gwizdanki parowej, a po chwili zawracały łańcuchy od kotwicy, którą poczęto wyciągać siłą maszyny parowej. Przez jaki kwadrans trwało to dudnienie, w końcu zakotłowała się woda w tyle okrętu, śruba puseiła się w ruch, uczuliśmy jakby lekkie drganie całego okrętu, a jednocześnie zaczęliśmy się oddalać od Kadyksu, przyczem doznawaliśmy zwykłego złudzenia, iż my stoimy w miejscu, a miasto zasuwa się w ciemność. W końcu zasunęło się w nią zupełnie. Okręt, wypłynął na pełne morze, ciągnąc za sobą jasny gościniec spienionej i fosforyzującej wody.

Tymczasem zorze pogasły. Cała kupa nieba, gęsto usiana gwiazdami, stała się ciemno-granatową, a morze było prawie czarne.

*Ferdynand Hösick.*

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Napróżno cały szereg Włochów zjeżdża do Warszawy, aby tu produkować swe głosy—no i zbierać ruble z kasy teatralnej. Pomimo starań dyrekcji i usiłowań reżyserji, aby z materiałów sprowadzonych za drogie pieniądze stworzyć artystyczną całość widowiska w teatrze Wielkim nie sięgają słuchaczy, chyba że ich tam zaprowadzi zrzeczna reklama benefisowa. Rzetelnem właściwie powodzeniem cieszyła się tym razem, jak i poprzednio, para artystyczna, istotnie dobra: p. Pacini i p. Battistini; zwłaszcza ten ostatni, który świeżo zakończył u nas swoją gościnę zasługuje na prawdziwe uznanie. Jestto śpiewak nietylko wytrawny i odznaczający się bogactwem swego woluminu—lecz jestto artysta wysoce inteligentny i świadomy środków, jakimi się efekty najwyższe sztuki wokalnejsi osiąga.

Ze tak jest w rzeczy samej, przekonywa nas Zygmunt hr. Ryzszewski, który Battistini'ego *interviewował* i uwagi te spisane w „Echu muzycznym“ (N. 50) zamieścił. Przytaczamy interesującą treść tych opinij śpiewaczych znakomitego artysty.

„Sztuka śpiewu — mówił Battistini — jak każda sztuka podlega prawom „transformizmu“, a ponieważ i sama muzyka dzisiaj musi się liczyć z temi prawami, zadanie śpiewaka staje się obecnie problemem dynamiki scenicznej, którego szczególnie rozwijanie nie zależy tylko od samego głosu, lecz przeważnie od sposobu używania go i od warunków zewnętrznych. Dzisiejsza faza sztuki muzycznej jest fazą przejściową. Oswobodzona prawie od balastu konwencyonalnych kawatyn i duetów, opera nie śmie jeszcze wstępować otwarcie na nowe tory melopei dramatycznej, i dzisiejszy kompozytor staje się podobnym do tych arabskich pielgrzymów, którzy wędrują do Mekki, robiąc dwa kroki naprzód i jeden w tył. Wagner tylko w swoich ostatnich utworach nie czyni tego kroku w tył, lecz z tego

powodu, postęp jego nieco za szybki i publiczność nie zawsze może za nim podążyć.

„Dramat muzyczny, jak go dziś rozumiemy i lubimy, kołysze się jak wahadło pomiędzy konwencyonalizmem, a melopeją i przez to wymaga od wykonawców oprócz głosu—inteligencji i indywidualności.

„Zawsze jednak i wszędzie, w dobie obecnej w przyszłości, jak i w przeszłości *nauka śpiewu była i będzie jedna i ta sama*; zboczenie od tej jedynej nauki, to jedyna przyczyna dzisiejszego upadku sztuki muzycznej—i dzisiejszej miernoty jej wykonawców.

„Nieubłagane prawo transformizmu czyni dziś z opery grupę charakterów muzycznych; dla uosobienia *każdego* z nich niezbędny jest wykonawca wytrawny i myślący. Ażeby wytworzyć takich wykonawców, nie trzeba szukać nowych systemów, nauki, lecz szczerze powrócić do dawniejszych. Takimi przynajmniej były moje osobiste usiłowania, a jeżeli Mozart mnie czaruje, a ja choć część tego czaru przelewał na słuchacza, tą samą, a nie inną drogą wstępuję na niebotyczne szczyty wagnerowskie, wkładając w ubóstwioną przezemnie rolę Wolframa von Eschenbach cały zasób moich studyów i całą siłę moich natchnień. Transformizm z dawnej „sztuki śpiewu“ uczynił dziś naukę—lecz niestety, jakże się zapatrują obecnie na tę naukę uczniowie i nauczyciele? Ta sztuka, która już znikła,—ta nauka, która jeszcze nie dojrzała, staje się w ich ręku rzemiosłem. To wina ucznia,—co prawda, lecz to jeszcze większa wina nieświadomego i bardzo często niesumiennego nauczyciela. Co rok widzę sam, jak napływają do Włoch całe fulangi aspirantów i aspirantek do sceny lirycznej ze wszystkich stron świata. Wiele razy rodziny zastawiają swe ostatnie klejnoty, żeby pokryć kosztą podróży i wydatki pierwszych miesięcy—lecz głos taki piękny—warunki tak wyjątkowe, że kilka miesięcy lekcji przy wrodzonej intuicji wystarczy zupełnie, aby aspirant stał się już sławą kraju oraz podporą całej rodziny. Przyznać muszę z żalem, iż we Włoszech  $\frac{3}{4}$  nauczycieli śpiewu podtrzymuje te błędne złudzenia i że  $\frac{3}{4}$  „impresaryów“ eksploatuje je na cele własne. Wobec tego, co robić? Otworzyć szkołę—lecz taką szkołę, gdzieby nietylko głos się rozwijał, lecz i umysł kandydata, szkołę więc pod opieką bądź to rządu, bądź takiego stowarzyszenia, któreby przedstawiało moralną i materialną gwarancję.“

Tak przemawia jeden z najlepszych śpiewaków doby najnowszej—i przyznać trzeba, iż głos ten powinien licznym u nas adeptom sztuki wokalnejsi otworzyć oczy na zalety i błędy dzisiejszego kształcenia się w śpiewie. A takiemu majstrowi, jak Battistini, wierzyć można. Wszystkie występy znakomitego artysty były jednym szeregim owacyj dla niego, zakończonych wspaiałym benefisem.

Zamiast Battistiniego mamy teraz w operze słynnego śpiewaka tenora, p. Duc'a. Jestto tenor bohaterki, potężny w swej mocy i pewności; jego wysokie zwłaszcza nuty: *h, c, cis*—wyrzucane z piersi, wybuchają jak gromy. Tą siłą i temperamentem artysta zdumiewa. Po raz pierwszy p. Duc wystąpił w roli Eleazara w „Zydówce“, następnie słyszeliśmy go jako Raula w „Hugonotach.“ Śpiewak panuje nad głosem i umie wydobywać efekty dramatyczne nieporównane; nadto śpiewak ten jest bardzo dobrym aktorem, gra iak doskonały artysta dramatyczny.

W tym tygodniu przybyły jednocześnie dwie siły artystyczne pierwszorzędnęj miary: znakomita śpiewaczka koloraturowa, p. Franciszka Saville, która przed dwoma laty zachwył prawdziwy budziła w Warszawie—oraz wyborny baryton Kaschman. Mielśmy sposobność rozmawiania z panią Saville, która nadmieniła, że w ciągu tych dwóch lat ostatnich, wielkie uczyniła postępy; będziemy tedy istotnie świadkami najlepszęj chwili obecnego sezonu, gdyż oprócz tenora *di forza*, występuje słynna śpiewaczka i baryton—wszyscy troje godni miana wielkich wykonawców.

Słuchając wykwiłntnych śpiewów w operze, nie możemy zapominać o pracach naszych pedagogów. Świeżo prof. E. Nowakowski zwrócił uwagę w jednym z ostatnich numerów w „Przeglądu Pedagogicznego“ na zaniedbaną u nas naukę śpiewu w szkołach. Zdaniem jego w zakładach naukowych warszawskich nauka śpiewu zbiorowego jest

prowadzona niedobrze, — gdyż nie umuzykalnia uczniów; nauka śpiewu powinna tu opierać się na solfedżiach, które wyrabiają słuch. Interesowani powinni z uwagą przeczytać to, o czem prof. Nowakowski mówi; wszystko tu bowiem jest ważne.

Z Krakowa dochodzi na wieść, iż tamtejsze towarzystwo muzyczne urządziło w d. 7 b. m. wieczór poświęcony Robertowi Schumannowi ze współudziałem prof. Domaniewskiego i p. Gutman-Kwiecińskiej. A z Wielunia piszą, iż tam d. 6 b. m. nastąpiło otwarcie świeżo założonego towarzystwa muzycznego; kółka zaś muzyczne, istniejące w Lublinie, Płocku i Częstochowie powzięły zamiar również uzyskać statut i módz się rozwijać odpowiednio. Usiłowaniam tym wszystkim — „szczęść Boże!“

A. Dobrowolski.

## NOWINY PARYZKIE.

Z powodu „Lorenzaccia“ w którym wystąpiła Sara Bernhardt zajmują się w obecnej chwili Mussetem. Sara wystawiła go w Renaissance w przeróbce p. d'Artois i sztuka świetnie się udała. Jest to dramat z epoki odrodzenia we Włoszech, dotychczas nigdzie nie wystawiany na scenie, gdyż wielki poeta pozostawił rękopis w nieładzie i bez scenicznej budowy. Dzięki przeróbce i udziałowi Sary Bernhardt na scenie doznał szczytnego powodzenia. Artystyczną i zapomnianą jednoaktową komedią p. Villiers de l'Isle-Adam, pod tytułem „Bunt“ (La Revolte) Odeon rozpoczął nową serję przedstawień.

Drugą bardzo zajmującą wierszowaną jednoaktówką są „Zamknięte oczy“ Regameya i Careya, także w Odeonie wystawione. Jestto prześliczna legenda japońska, w której młode niewidome dziewczę wzrok odzyskuje lecz błaga Boga, aby jej dawną ślepotę powrócił, bo cały świat i otoczenie, bo narzeczony wreszcie — wszystko jest brzydsze i gorsze, niż sobie bez wzroku wyobrażała.

Trzecią ciekawą sztuką w Odeonie jest „Niebezpieczeństwo“ Augusta Arnault, znanego publicysty parlamentarnego. Sztuka o czysto lokalnym charakterze.

W teatrze *Oeuvre* wystawiono Ibsena dramat „Peer Gynt.“ Większość krytyków uważa ten utwór za fantastyczną bajkę, którą jednak z zachwytem można wysłuchać od początku do końca. Są w nim sceny mistrzowskie, do głębi wstrząsające. Bohaterem — chłopak norwegijski, z przelotnymi pragnieniami nieograniczonej władzy i zmysłowej miłości. W pogoni za temi żądzami zmarnował życie, jakkolwiek nie można powiedzieć, że był daleki od ich osiągnięcia. Ale dążył bez żelaznej siły, był pełen wahań. Przez całe życie połowiczny; ani zły ani dobry, pełen urojonych, a niezdecydowanych pożądań; były to bardziej chorobliwe, kapryśne, zachcianki, niż skryzalizowane pragnienia. Bardzo oryginalne i pełne fantastycznych pomysłów tło, na którym toczy się akcja, dodaje utworowi wielkiej wartości, budzi ogromne zaciekawienie. Jestto, coś w rodzaju „Fausta“, ale rozkiełznana fantazja jeszcze śmieiej tu buja.

Doskonałą nowością, jest tutaj otwarcie sali teatralnej, tak zwanego „Théâtre Blanc“ pod dyrykcją świetnej artystki, pani Maryi Samary. Jestto przybytek poświęcony tego rodzaju utworom scenicznym, na które mogą uczęszczać młode panny. Do tej pory odpowiednim teatrem dla młodych dziewcząt była jedynie komedia Francuska i Odeon. Teatr ten znajduje się na polach Elizejskich, a co czwartek i niedziela odbywają się tam poranki, poświęcone muzyce lub przyzwoitej komedii.

W teatrze Varietés operetka Bluma i Serpetta *Le Carillon* wystawiona z wielką okazałością ściągają tłumy publiczności.

*La villa Gabby* trzyaktowa komedia Leona Gondillot'a, wystawiona w Gymnase, cieszy się niezwykłym powodzeniem.

Wybuchy śmiechu i ogólna wesołość towarzyszy od początku do końca całej sztuce pomimo bardzo zwięzłej treści.

W teatryku „Bouffes-Parisiens“ dano operetkę F. Carre'go p. t. „Pan Lohengrin.“ Jestto wesoła parodia wagnerowskiej opery. Lohengrin, bogaty kupiec, przybywa w łodzi (rzecz się dzieje nad brzegiem Sekwany) w pogoni za powabną aktoreczką; podobnie jak wagnerowski bohater nie może wymówić swego imienia... no bo się boi żony. Ale tajemnice, wychodzą na wierzch, a ztąd nieprzerwanym łańcuchem zabawnych powikłań.

W teatryku Cluny wystawiono zabawną farsę p. t. „Papa Franciny.“ Bogaty amerykańczyk przypomniał sobie na starość o pewnej swej miłostce z odległej przeszłości i pragnie odszukać matkę wraz z córką, która była owocem tego stosunku. Hojnie opłacony agent pomaga w tych poszukiwaniach, a synowiec w obawie o spadek po bezdzietnym wujaszku przeszkadza. Wesołe kolizye zmuszają do wybuchów serdecznego śmiechu.

Odeon za to wystawił rzecz poważną, ciężką nawet: „Persów“ Eschylosa. Rozpacz Persów po porażce przez atenyżków. Sztukę wykonano wystawiono bardzo sumiennie, a pani Dieulafoy w garniturze frakowym wygłosiła odpowiedni wstęp.

Uniwersytet paryski święcił swe narodziny w Sorbonie.

Od czasu Napoleona I nie istniały uniwersytety jako całość; były tylko pojedyncze wydziały, zależne od ministra oświaty, a dopiero od niedawna pomysłano, aby połączyć wydziały w jedną całość i utworzyć prawdziwe „universitates.“ Prezydent Faure w otoczeniu przedstawicieli wszystkich wydziałów, otworzył po stosownej przemowie paryską wszechnicę, wręczając rektorowi, Gerardowi, oznaki najwyższego orderu wielkiego krzyża legii honorowej. Słowem obchód był bardzo uroczysty o nastroju poważnym.

Oprócz nowopowstałego uniwersytetu istnieje już od zeszłego roku instytucja, nosząca nazwę „College libre des sciences sociales“, mieszcząca się przy ulicy „de Tournon.“ Jedną z zasad tej instytucji jest, że każda katedra ma zupełną autonomię w granicach poszanowania prawa; dalej — nie wymaga od słuchaczy żadnych kwalifikacji naukowych, a opłatę oznaczała nader niską, bo 30 franków rocznie. Wykłady dzielą się na dwa działy: pierwszy obejmuje statystykę i historję, obsadzone przez pierwszorzędną siły; drugi — teorię i praktykę społeczną, także nadzwyczaj urozmaicony i doskonale obsadzony. Ujemną stroną możnaby nazwać to, że kolegium nie egzaminuje słuchaczy i nie nadaje im dyplomów. Jednak ci ze słuchaczy, którzy pod kierunkiem profesorów wykonywają różne prace, otrzymują właściwe świadectwa.

Dyrektorem kolegium jest d-r E. Delbet, a oprócz niego jest także rada nadzorcza złożona z kilku profesorów.

Książki gwiazdkowe ukazały się w tym roku nader szepuły liczbie. Wydawcy jakby się zmówili: nie chcą rywalizować z modnymi magazynami, które od kilku lat wydają wielką ilość książek gwiazdkowych po bajecznie niskiej cenie. Lichą treść pokrywa bardzo efektowna, bogata oprawa i większa część przeciętnej publiczności łapie się na taką przynętę. Pomimo narzekania wydawców, niektóre książki gwiazdkowe posiadają wartość rzeczywistą. Chętnie też o nich kilka słów wam doniosę, bo może niejedna z tych książek znajdzie się w przekładzie na półkach księgarskich w Warszawie, jako nowości gwiazdkowa roku 1897.

Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że w literaturze gwiazdkowej dla młodzieży największem powodzeniem cieszą się książki historyczne i naukowe, z widocznym upośledzeniem opowieści fantastycznych. Czasy się zmieniają!..

Najpierwszą w tym szeregu jest wydana u Hachet'a „Florenca i Toskania“ E. Müntz'a, ozdobiona mnóstwem prześlicznych rycin, wykonanych z niezwykłą starannością. Loti'ego opis Konstantynopola, zamieszczony w książce p. t. „Stolice Europy“ jest wyjątkowo ciekawy ponieważ autor oparł je na osobistych wrażeniach. Pełny rozmaitych tajemnic pałac sultański mógł Loti malowniczo i dokładnie opisywać, ponieważ korzystał ze specjalnego zezwolenia oglądania wszyst-

kich jego zakątków i osobliwości. Oto próbka opowiadania autora:

„W jednej z olbrzymich sal poza szklanymi szymbami oczekuje nas straszne, nieruchome towarzystwo. Dwadzieścia ośm lalek naturalnej wielkości stoją jedna obok drugiej. Są to wszystkie figury dawnych sultanów. Obyczaj nakazywał, aż do początku obecnego stulecia, aby po śmierci każdego sultana, ubierano lalkę naturalnej wielkości w jego paradną odzież z turbanem, kosztownymi spieczkami, z najlepszą bronią w rękę — i tak ubraną stawiano obok jego poprzedników. Dwudziestu ośmiu władców Konstantynopola do końca XVIII wieku wszyscy są reprezentowani i stoją w jednej linii w długich wspaniałych szatach, przybranych drogiejmi kamieniami, a dziś już pokrytych pyłem. Te bajecznie wspaniałe i kosztowne lalki, pilnie strzeżone podwójnymi drzwiami i żelaznymi zasuwami, mają każda swoją tabliczkę z głośnym niegdyś imieniem: Murat zdobywca, Soliman wspaniały, Mahomet, Machmut; oto smutne dowody nicości i znikomości tego świata.

Wielki, a zarazem smutny obraz przedstawia dzieło Maspéro „Historja klasycznego wschodu.“

Bardzo ciekawą jest kollekcja „Tour du monde“, w której godnym zaznaczenia jest p. Wanderheim'a opis wrażeń z Abissynii, a szczególnie z pobytu na dworze Menelika. Opowiadanie o stolicy państwa, o pałacu władcy abisyńskiego, opis obyczajów i zwyczajów czyta się i słucha z wielkim zajęciem.

Szczęśliwym pomysłem nazwać można myśl p. Badin'a opowiadającą w formie romansu wyprawę generała Duchesne'a do Madagaskaru. Rzecz ta z konieczności barwna i pełna rozmaitych przygód, została jeszcze przez autora ozdobiona wieloma fantastycznymi dodatkami.

O wielu innych nowych wydawnictwach książkowych pomówię w niedalekiej przyszłości.

C. H.

## Kronika działalności kobiecej.

— W Poznaniu ożywia się ruch praktycznej pracy kobiet. Oprócz dawniejszego Towarzystwa św. Wincentego i Towarzystwa Pomocy naukowej dla dziewcząt rozwija się pomyślnie Szkoła gospodarska w Dobrojewie założona przez hr. Kwilecką; urządzona skromnie lecz wzorowo, wydała już spory zastęp umiejętnych gospodyń, które znajdując dla siebie zajęcie, umieją polepszyć stan gospodarstwa sobie powierzony. W samym Poznaniu duże korzyści materialne swym założycielkom przyniosła piekarnie, z których dwie, ręką kobiet kierowane zaopatrują miasto w najlepsze pieczywo i dają wyborne dochody. Gałąź ta przemysłu i handlu jest bardzo dla kobiet właściwą, prędzej daje utrzymanie niż inne przedsiębiorstwo, a przy niewielkim nawet na początek kapitałiku, wytrwałości i niskich cenach zboża obecnie, nie jest weale trudnym zadaniem do osiągnięcia. Zakład haftów i aparatów kościelnych hr. Skórzewskiej daje zatrudnienie dużej ilości pracowni, a Skład ludowy, pod kierunkiem pani Wit. spełnia zasługujący na uznanie cel swój chronienia biednych szwaczek przed wyzyskiem obcego kupiectwa. Istnieją jeszcze inne pracowni założone przez Polki, i z czasem zapewne rozwiną się na szerszą stopę, a przy tym ruchu praktycznym, rozwija się też równocześnie i duchowe potrzeby zaspakaja „Czytelnia kobiet“, w której miejscowe mieszkanki znajdują książki i czasopiśma, a oprócz tego Czytelnia, po taniach cenach.

— Jedną z firm saskich dostaw sukna, zaczęła posługiwać się kobietami jako podróżującymi zastępczyniami interesu, powierzając takowym załatwianie zamówień i sprzedaż towaru.

— Siostra Anzelma, przełożona szpitala wojskowego w Cayenne'ie, otrzymała w uznaniu wytrwałej i dobroczynnej, 38 letniej pracy w usługach cierpiącym — krzyż legii honorowej.

## Z bieżącej chwili.

— **Kompozytorka holenderska**, panna Kornelia van Oostersee, zdobyła sobie powszechne uznanie w Utrechcie zapoznawszy publiczność z cyklem symfonicznych swych utworów osnutych na tle „Idylli królewskich” Tennyson’a, których wykonaniem sama kierowała na koncercie.

— **Pani prof. Diloo**, z domu v. Hachewitz, właścicielka biura naukowej grafologii, została w Berlinie mianowaną — pierwszą kobietą, sądową rzeczoznawczynią w sprawach dotyczących pisma. Po zaprzysiężeniu swych obowiązków, jest już przydzieloną do I okręgu krajowego sądu w Berlinie.

— **Kobieta w służbie pocztowej**. W urzędowym sprawozdaniu poczty państwowej w Niemczech za przeciąg czasu 1891—96 zaznaczono, że usługi sił kobiecych zrazu wprowadzone dla próby tylko, okazały się tak zadawalniającymi, że liczbę ich znacznie pomnożono. W końcu Marca 1896, w 15 wielkich zbiorowiskach ruchu było czynnych telefonistek 2,023, dziewcząt i wdów bezdzietnych, w wieku między 18—30 lat. Od lat zaś już trzech przypuszczono i starsze kobiety do służby pomocniczej.

— **W Helsingforsie** zapisało się 211 kobiet na studia uniwersyteckie, ściśle biorąc, właśnie 10 procent ogólnej liczby słuchaczy. 8 kobiet studjuje prawo, 57 medycynę, 79 matematykę i nauki przyrodnicze, 117 filologię i historję. Widzimy z tego wykazu, że kobiety najliczniej pracują w dziale najbardziej im dostępnym, i dającym prawdopodobieństwo zdobycia najprędzej stanowiska w zakładach wyższych naukowych lub w samodzielnych studiach literackich. Najmniej słuchaczek ma prawo, studują one mianowicie w celach teoretycznych, z bardzo małym wyjątkiem bowiem, może kobieta te studia zastosować praktycznie.

— **Na tegorocznej gwiazdkowej wystawie** artystek berlińskich, znajdują się rzeczy istotnie zdradzające dużo talentu i pomysłowości w sztuce stosowanej do ozdoby. Odnaczyły się w tym dziale panie: Marya Kirschner, umiejająca w właściwy sobie gustowny sposób łączyć haft z malarstwem; panna Lerche, wykonała „panneau“ częścią malowane, częścią wypalane; w malarstwie odnaczyły się Franck, v. Kitzig, Lektner i Schleider. Ładne rzeczy dały się widzieć w ozdobach wachlarzy, malowidła na porcelanie i na piórach, robotach cynowych na miedzianem tle, dekoracjach ściennych, guzikach i spinakach porcelanowych, oraz w rodzaju ekranów. Udatną rzeźbę „Powrót z pola“ dała młoda rzeźbiarka Lilli Finzelberg. Cała wystawa przedstawiała obraz pilnej i estetycznej pracy rąk niewieści.

— **Angielskie Stowarzyszenie, Womeus International Progressive Union**, założone przez Adriannę Veigelé 19 Lutego 1896 r. w Londynie, wybrało na wice-prezysujące — panie: K. Mollet, Ami Morant, Linę Morgenstern, Alor Veigelé i panią Vincent. Celem Stowarzyszenia jest pobudzić kobiety wszystkich krajów do ogólniejszej działalności w społeczeństwie, aby nie ograniczając się jedynie na własnym domu, współczuć zaczęła czynnie ze wszystkim do brem i szlachetnem, a walczyć ze złymi objawami w ludzkości. Przedewszystkiem pragnie Stowarzyszenie popierać takie wykształcenie dziewcząt, któreby je rozwijało na równi z chłopcami pod względem inteligencji i uzdolnienia do pracy. Na ostatnich posiedzeniach obrabiano ważne sprawy, jak nadużycia wiwisekcyi, pożałowania godne prześladowanie Armeńczyków i o potrzebie materialnej niezależności kobiety. Stowarzyszenie jest młode i entuzjastyczne; przyszłość wykaże ile zdziała. Mogłoby przynieść takie owoce zabiegów i wspólnych usiłowań ile ich już wydały stowarzyszenia kobiece popierające wstrzemięźliwość, walczące tak wytrwale z alkoholizmem w Anglii i za granicą.

— Zarząd kolei iwangrodzko-dąbrowskiej, zamierza starać się u rządu o uzyskanie pozwolenia na emisję dopełniającego kapitału obligacyjnego w celu uskutecznienia nowych robót, wskazanych przez ministerjum komunikacyi, oraz powiększenia taboru drogi.

— W d. 25 b. m. zmarła w Warszawie utalentowana śpiewaczka, b. artystka opery warszawskiej, ś. p. Marya z Kwiecińskich Gutmanowa, przeżywszy lat 28.

— Dzięki troskliwej opiece towarzystwa dobroczynności i osób, znanych na polu działalności filantropijnej, biedni m. Warszawy mieli w r. b. szczególnie wesołą wigilję. Opiekunki zakładów dobroczynnych wszechstronną zapobiegliwością sprawiły, że we wszystkich przytułkach było gwaro i radośnie. Niech będą błogosławieni miłośnierni...

— Teatr plocki, mieszcący się dotąd w starym gmachu, opuszczony i zaniebdany, został obecnie z gruntu odnowiony i odświeżony. Scenę powiększono, urządzono wygodne garderoby i foyer. Przedstawienia w nim rozpoczną w pierwszy dzień nadchodzących świąt nowoorganizowane towarzystwo pod dyrekcją p. L. Dobrzańskiego.

— Albo warkocze, albo medycynę musi poświęcić jedna słuchaczka wdziału lekarskiego uniwersytetu w Peszcie, gdyż profesor chirurgii, opierając się na stwierdzonym fakcie, że włosy w ogóle, a szczególnie długie są rozsądnymi bakcyłóm, domaga się, by p. M. Sob. albo włosy obciąła, albo też zaniechała studiów medycznych. Podobno przy operacjach owe rozsądniki włosowe mogą być dla pacjenta poważnie niebezpieczne. Panna Sob., która ma cztery koleżanki nie posiadające tak pięknych warkoczy, jak utrzymują dzienniki peszteńskie, jeszcze się nie zdecydowała, czy rzucić medycynę, czy też wyrzec się jednej z najpiękniejszych ozdób kobiecych.

— W dniu 24 b. m. obchodzono rok jubileuszowy Prusa, skończyło się bowiem lat 25 jego pracy na niwie literackiej naszej, nadesłano mu całe stopy biletów z życzeniami od różnych osób, przeważnie z sfer inteligentnych naszego miasta.

— Wszystkie stowarzyszenia sportowe u nas, również pospieszyły złożyć mu w ten sposób swój hołd.

Objaw taki uznania ze strony naszego ogółu dla znakomitego pisarza będzie mu tem miłszy, że inicjatywa i wykonanie wyszło od samej publiczności, która nie była do tego zachęcana przez dzienniki.

— W Londynie otwarto w tych dniach szkocką instytucyę nazwaną domowem ogniskiem, które ma na celu ochronić młodych szkotów od zepsucia. Ognisko mieści się w obszernym gmachu, urządzonym na wzór klubu, którym kierują sama panie szkockie, założycielki zakładu. Przewodniczącą jest księżna Sytherlandu. Wieczorami będą tu mogli młodzi szkoci znaleźć wykwintne towarzystwo i miłą rozrywkę. Koszta ponoszą same panie.

— W Gracu zmarła niedawno Marya Mogiła Stankiewiczowa, żona emerytowanego pułkownika polaka. Pracowała ona z zamiłowaniem na niwie literackiej, gdyż odwiedziła artystyczne aspiracje po matce, Fanny Caspers słynnej aktorce niemieckiej. Owa Fanny Caspers znaczną odegrała rolę w życiu wielu artystów a szczególnie Thorwaldsena. Schiller i Goethe interesowali się bardzo miłą i młodziutką adeptką sztuki, Goethe nawet dał jej nawet jedną z większych ról w swoim „Tankredzie“ a Schiller pouczał ją jak ma pojmować tę rolę. Poznawszy scenę udała się Fanny

w podróż do Włoch, jako dama do towarzystwa pewnej bogatej hrabiny. W Rzymie zaznajomiła się z bardzo jeszcze młodym wówczas, lecz już świetnie rokującym nadzieje, duńskim rzeźbiarzem Thorwaldsenem. Przyjaciółka Fanny Luiza Seidler malowała jej portret, a Thorwaldsen dawał malarce instrukcyę, traktując zrazu oryginalnie sucho i lakonicznie. Lecz później coraz częściej odwiedzał młode kobiety, zapłonął gorącą miłością ku Fanny. Wszyscy przyjaciele Thorwaldsena życzyli sobie ożenienia się jego z panną Caspers, lecz cała ta miłośna idylla skończyła się tragicznie. Niejaka miss Mackenze Seaford rozdzieliła zakochanych. Pielegnowała ona nigdy Thorwaldsena w ciężkiej chorobie, i jej poświęceniu zawdzięczał artysta, że został przy życiu Ale miss Mackenze była brzydka, więc prócz wdzięczności nie więcej rekowalescent dla niej czuć nie mógł, ale wdzięczność ta była tak silną, że młody artysta przysięgł pojąć ją za żonę. Tą przysięgę przypomniła mu zazdrosna miss Mackenze, stosunki między kochankami zerwały się zrozpazona Fanny wyjechała z Rzymu. W parę lat potem wyszła za mąż za bogatego bankiera Dorego miała z nim córkę, którą właśnie była ś. p. Stankiewiczowa.

## M Y S L I

Niech się moje dzieci kochają!

*Ostatnie słowa Mickiewicza.*

Ucisz się serce, dawnych strat  
Już nie pamiętaj stroskane,  
Ale wschodzący witaj świat  
I jego jutrznie różane.

*A. Asnyk (Ely).*

Pośredników nie znam tam, gdzie zwyciężyłem  
siłą własną.

*Z. Krasinski.*

Nieszczęście jak miłość wiąże ludzi ze sobą.

*Tenże.*

Kto jął się oręza, ten zapomniał się skarżyć —  
kto grozi ten nie odpowiada ale rozkazuje.

*Tenże.*

Kto występny przebacza, ten niewinnych ludzi  
będzie karał kiedyś!

*Tenże.*

Uwolnić siebie od prawideł grzeczności, czyliż  
nie znaczy tyle, co dać wadom swym większą swobodę?

*Monteskiusz.*

Szczęście w życiu polega na niezadaniu nadmiaru,  
gdy się ma rzeczy niezbędne.

*Plutarch.*

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się:  
ark. 4 powieści p. t. **Siostry**. Przełożyła Z. S.

**TREŚĆ:** Teresa Jadwiga Papi, przez Szczęsną (z rysunkiem). — W kwestyi równouprawnienia kobiet. — Lubrańce, powieść, przez Znicza (dokończenie). — Przegląd piśmienniczy, przez J. Nitowskiego. — Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka. — Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego. — Nowiny paryzkie, przez C. H. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

**Dodatek obejmuje:** **Siostry**, powieść. Przełożyła Z. S., arkusz 4. — Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.